NUMER 16. DNIA 17. KWIETNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MARJA JARMUND.

NASZE IDEAŁY W XIX. WIEKU.*)

. . . .

Doszedłszy wreszcie do najnowszych czasów, stajemy wobec labiryntu, z którego nie zdołałaby wyprowadzić nawet czarodziejska nić Arjadny. To tylko nie podlega wątpliwości, że wszyscy odwrócili się z niechęcią od takiego realizmu, jaki do niedawna wszechwładnie panował. Poza tem spotykamy chaos pełen najsprzeczniejszych, często wykluczających się wzajemnie pojęć, jednem słowem, prawdziwą wieżą Babel, w której zupełnie pomieszały się języki.

Jednolite kierunki, do jakich liczył się klasycyzm, romantyzm, realizm itd., zostały daleko poza nami. Dziś niema już uznanych prawd w estetyce, ani w etyce. W sztuce i literaturze zmieniają się zasady i wyobrażenia z taką szybkością, jak w migawkowym aparacie fotograficznym. Roi się więc w nich od impresjonizmów, pointilizmów, plaineryzmów, weryzmów, symbolizmów, dekadentyzmów, satanizmów, mistycyzmów, modernizmów. Każdy z pisarzy, artystów lub poetów przynosi inne poglądy i teorję, waląc niebo i ziemię na głowy tych, którzy nie odrazu i nie zupełnie ślepo wierzą w nowo objawioną ewangelję. Taki sam spostrzegać się daje przewrot i zamieszanie w dziedzinie praw moralnych od początku świata niemal za niewzruszone uznanych, w zasadach etyki, w wierzeniach religijnych, czyli we wszystkich podstawach duchowego naszego bytu.

Jedni po długich latach sceptycyzmu i zupełnej niewiary, jaką w nich wytworzyły badania i odkrycia naukowe, zaczęli powracać szczerze, a częściej pozornie do religji katolickiej, usiłując wszystkich, choćby przemocą, na tę drogę za sobą pociągnąć, inni, którym się nie udało dogmatów pogodzić z wynikami wiedzy, zwrócili się do buddyzmu, jako wiary, na filozofji opartej, a w końcu jeszcze inni wymyślili jakiś neokatolicyzm. Oprócz tego, kiedy społeczeństwa zdemokratyzowały się zupełnie, kiedy dawne hasła braterstwa, równości i wolności przeniknęły już ludzkość, kiedy pojęcia, za które ciężko walczyć trzeba było, stały się własnością wszystkich szlachetnych jednostek, a prawa narodów uznały bezwarunkową równość ludzi, morzem krwi przez rewolucję francuzką zdobytą, kiedy wreszcie szerzenie oświaty śród mas, pozbawionych jej przedtem całkowicie, uznano za ideał — za najużyteczniejszą i najważniejszą z prac dzisiejszej doby, — ze strony najmniej spodziewanej, bo ze strony literatów i artystów zaczął się prąd przeciwny tym dążnościom objawiać.

Niektórzy z dekadentów francuskich zapewne nie z przekonania, lecz z chęci przeczenia temu, co poprzednicy uznali za dobre, lub może w mylnem mniemaniu, że dosyć potępić to, co inni zrobili, aby się od nich okazać wyższym, rzucili się namiętnie na zdobycz, przynoszącą największy zaszczyt naszym czasom. Charles Morice, jeden z wybitniejszych przedstawicieli nowego kierunku w swojej literaturze, z wielkim żalem, ale z małą logiką dowodzi, jakoby popularyzacja wiedzy była rozpraszaniem światła na masy, a światło rozproszone na atomy, staje się mrokiem. Cienie owego mroku tak pokryły teraźniejszość, że wśród nieba nie może żadna gwiazda pierwszorzędnej wielkości zabłysnąć.

*) Praca niniejsza, ustęp z większej całości — została nam nadesłana przez Szanowną Autorkę przeszło rok temu, — wobec wcześniejszych jednak zobowiązań, dziś dopiero możemy podzielić się jej treścią z Czytelnikami „Tygodnia“. *(Przyp. Red.)*

Usiłując wmówić w ogół czytelników podobne niedorzeczności, nie zastanowił się wcale, jak jedno z drugiem mało posiada związku. Bo jeżeli rzeczywiście nie mamy wielkich geniuszów, to chyba nie dlatego, że w cywilizowanych narodach każdy człowiek umie czytać i posiada pewien zasób wiadomości naukowych. A w razie nawet, gdyby tak być miało, to większą korzyść dla postępu przyniosą miljardy drobnych gwiazdeczek, niż jedna wielka świecąca na tle ponurego nieba, którego rozwidnić nie może i gdzie w końcu, pochłonięta gęstymi cieniami, sama utonąć musi bez śladu. Popularyzacja wiedzy stanowi właśnie wyższość naszej cywilizacji, nad cywilizacją z czasów assyryjskich, babilońskich lub egipskich, w których dosyć nawet wysoki stopień światła i kultury był własnością tylko uprzywilejowanych jednostek. I cóż po nich zostało? Wszystko zginęło w mroku.

Jednocześnie z zazdrosną chęcią odebrania masom oświaty, niektóre jednostki obdarzone istotnie lub we własnem tylko mniemaniu wybitniejszemi zdolnościami, zaczęły z dziwną pychą lekceważyć i pomiatać tymi, których natura mniej szczodrze uposażyła. Stąd u nich pogarda dla tych samych tłumów, dla których inni życie gotowi oddać w ofierze, stąd popieranie uroszczeń arystokratycznych, choć na ich zwalczenie ludzkość kilka tysięcy lat ciężkich trudów i walk poświęciła. Jakkolwiek bowiem niezaprzeczoną jest prawdą, że niema na świecie bezwzględnej pomiędzy ludźmi równości, tak w sile, w piękności, we wzroście, w władzach umysłowych, to jednak w ogóle, oprócz bardzo rzadkich wyjątków, wartość ich się równoważy tem właśnie, że każdy posiada cząstkę przymiotów, których inni są zupełnie pozbawieni. Dlatego też niesłychanie komiczne musi sprawiać wrażenie, gdy pierwszy lepszy młodzik po napisaniu kilku mniej lub więcej udatnych wierszy, oświadcza z wielką powagą całemu światu, że jest — arystokratą!

Istotną arystokrację stanowi niewątpliwie tylko wyższość duchowa i umysłowa człowieka, lecz o ile rodowody udowodnić można zapomocą pergaminów, o tyle wyższości umysłowej, na własnem jedynie mniemaniu opartej, nikt dowieść nie potrafi. Po czem więc ją poznać, kiedy się jeszcze niczem na zewnątrz nie objawiła. Gdzie się znajdują patenty na tę wyższość? W czem się mieści usprawiedliwienie tak dobrego o sobie mniemania? — „W potężnem uświadomieniu wyjątkowości swojej istoty" odpowiadają moderniści, zapominając, że każda prawie istota ludzka posiada w głębi duszy podobne uświadomienie, które jest prostem przecenianiem swojej wartości, właściwem ułomnej naturze ludzkiej. Być może, iż w instynkcie, popychającym człowieka do wywyższania się ponad innych, spoczywa zarodek postępu, ale tymczasem każdemu się zdaje, że jest więcej wart od wszystkich, wady swoje pobłażliwie traktuje, lub ich wcale nie widzi i ma tendencję do przeceniania zdolności wartości swojej, co nie wypływa z poczucia prawdziwej wyjątkowości jednak, lecz ze zwykłej wady ludzkiej, która się nazywa pychą. Gdyby było inaczej, nie mielibyśmy tylu nędznych dzieł sztuki i miernot literackich, pozbawionych nietylko wyższej wartości, ale wprost sensu. Żaden człowiek na świecie bezstronnym sędzią własnej działalności być nie może. Zwykle bowiem pewne tylko poczucie przyzwoitości nie pozwala ludziom głośno wyjawiać pochlebnego o sobie mniemania, tak jak ładnej kobiecie mówić o swojej piękności, bez tego poczucia ujrzelibyśmy wkrótce świat cały, składający się z samych „arystokratów".

Jakież więc być może kryterjum na odróżnienie fałszu od prawdy. Kto ma wydawać sąd o działalności, pyszniącej się swoją wielkością jednostki? Nie motłoch, nie tłum znienawidzony, lekceważony i pogardzany przez bezwzględnych wielbicieli nowych kierunków w sztuce i w filozofji. Któżby zwracał uwagę na zdanie bezmyślnej masy, czy może ona mieć prawo do wydawania sądu o najwyższych dziełach ducha i umysłu ludzkiego? — mówią pogardliwie moderniści. Rzeczywiście jeżeli się wymaga od nieoświeconego tłumu zrozumienia i poznania się na subtelnych różnicach, zachodzących pomiędzy jednem, a drugiem dziełem sztuki, to mu się stawia wymagania nierozsądne i tak niemożliwe do wykonania, jakby się żądało od poety rozwiązania jakiegoś bardzo zawiłego zadania matematycznego. Ale ten motłoch, nie umiejący określić w wyrazach technicznych na czem polega wartość utworu artystycznego, posiada jednak instynkt przedziwny, wskazujący mu dokładnie, co jest dla niego dobrem i użytecznem, a co złem i zgubnem i bardzo rzadko daje się pod tym względem sprowadzić na manowce. Często zdarza się wprawdzie, że dzieła genjalne czy to z powodu innego nastroju umysłów w danej chwili, czy dla przyjętych ogólnie pojęć, przechodzą nie uznane, bez wrażenia, takie omyłki jednak popełnia nietylko tłum, lecz i najwyżej stojące duchowo jednostki. Mickiewicz nie poznał się przecież na Słowackim.

(C. d. n.)

WŁADYSŁAW ORKAN. 3)

HERKULES NOWOŻYTNY.

I wiele lat tak jeździł i po drogach sprawiedliwość czynił.

Sława jego rosła z każdym czynem, pełno imienia jego było w okolicy, i nawet w dalsze strony słyna o nim szła, ciekawiąc ludzi, jakby o jakim bohaterze. Poczynali już po stronach mówić, że to nie zwyczajny człowiek i dziwili się wielce jego czynom; tylko ci mało się dziwili, którzy go znali poprzednio inakszym; ci powiedali, mrużąc oczy: „My to już wtedy w nim widzieli“.

Sława Kurzawy rosła i szacunek się dla niego szerzył, ale niesprawiedliwość nie malała — ba, niesprawiedliwych ludzi było coraz więcej, jakby się z jego osądków rodzili. Kurzawa coraz silniej gniewem się ku nim zapalał i w zapamiętaniu swem nie przyszedł na to, że mu właśnie ci niesprawiedliwi ludzie może bardziej, niż sprawiedliwi, potrzebni — bo, gdyby ich nie było, cóżby wtedy robił, chcąc dla sprawiedliwości czynić? Ba, przeciwnie — gorliwość gniewna w nim rosła.

Zapalał się coraz srodzej w swojej świętej wierze i już nie zadawalał się okazjami, które mu się po drogach przytrafiały, ale sam począł szukać sposobności, gdzie mógłby niesprawiedliwość pognębić, a sprawiedliwości pomódz, iżby w końcu zapanowała na świecie — bo widziało mu się w sercu, iż to jest celem jego życia —; począł jeździć na jarmarki, choć nie miał potrzeby, zapraszać się na wesela bez pomocy drużbów, zachodzić wreszcie do karczmy, między zgiełk i ciżbę... A jak mu się sposobność przydarzyła — sądził. Owa gorliwość zdwajała, ba, dziesiętniła nieraz jego siłę, tak, że kupy całe gromił, jako ów Samson biblijny; i wszyscy już uwierzyli w jego moc nie z tego świata, i nikto zemsty nie śmiał szukać na nim, choć i niejeden pocichu jej pragnął; ta gorliwość zarówno czyniła rękę jego coraz to mniej lekką, coraz to więcej podobną do młota; sam już nareszcie wagę siły swojej stracił.

I co się nie wydarzyło...

Oto jednego pogodnego rana dostał Kurzawa wezwanie do sądu.

Gdy raz przy okazji gromadę jakąś uśmierzył, któregoś z niesprawiedliwych tak mocno, nie czując ciężkości ramienia swego, nadwerężył, iże mu już do śmierci bardzo niewiele brakowało; jakieś tam żebra, czy coś z kości miał nadłamanego.

Za to go teraz wzywano. Poszedł ochotnie, bo cóż go miało smucić. Powie im: „Ja dla sprawiedliwości czynił“ — i po sądzie. „Sąd też dla sprawiedliwości jest ustanowiony“ — dumał.

I bez najmniejszej trwogi jawił się przed sądem. Jakież było jego zdumnienie, gdy usłyszał wyrok, skazujący go za zbrodnię (wyraźnie słyszał: za zbrodnię) na trzy miesiące kryminału! Jakby go ktoś znienacka pałką w łeb uderzył... Nie dano mu nawet czasu opamiętać się i wyjść ze zdumienia, jeno go zaraz wepchano do jakiejś ciemnicy, gdzie miał tę karę cierpieć. Tu dopiero ochłonął i mógł się zastanowić.

Teraz już nic nie rozumiał. Zgłupiał doznaku na piekne. Przecie on dla sprawiedliwości... a tu znowu w imieniu sprawiedliwości... Myślał, myślał — dzień i noc, i dłużej — sam nie wiedział, jak długo, bo już czas rachować przestał — i nic zgoła, ani odrobiny z tego wszystkiego nie mógł pojąć. Widział jeno czarność przed oczami i przed rozumem nieprzebitą, jak ścianę, jak mur.

I znowu mu się ta potwora, jaką już raz w omamieniu widział, przedstawiła. Przezdało mu się wyraźnie, że ją widzi w czarnym, naprzeciwko kącie, jak się trzyma łapskami za brzuch przeobmierzły i śmieje się tak wstrętnie, że się jej aż pysk drze od jednego ucha do drugiego, a zębska jej się świecą, jak te grabie.

Kurzawa już się nawet na to i nie wściekał, jeno odwrócił umęczoną głowę i szepnął z cichym wyrzutem, jak dziecko, gdy je pokarzą, a drugie się z niego śmieje:

— Śmiej się, śmiej...

I począł aże z tej niemocy płakać.

Potwora znikła. Kurzawa znów, uspokoiwszy się zwolna, zaczął na nowo nad tym wszystkim myśleć. Zasadzał się stąd i zowąd, aby coś rozumem pojąć — ale na nic, popróżnicy głowę se mozolił. Gdy zaś poczynał uparcie z całem wysileniem dumać, to uczuwał, że mu się coś w rozumie mąci, jakby go obłęd głupi napastował. I dał już spokój głowie — już nie dumał. Siedział bez ruchu i bez żadnego myślenia — drewniał pomału — czasu idącego nie czuł — nic nie czuł, jeno cięż-

kość na piersiach duszącą, jakby się góra piasku na nie zwiozła, i czarność przed oczami, jak ścianę, jak mur.

Wyszedł nareszcie z więzienia, wrócił do wsi — ale już nie ten Kurzawa. Widoku ludzi się trwożył, zwłaszcza gromad większych, i nieśmiały był bardziej, niż podówczas, gdy u ludzi sługował niewolnie. Zgarbił się jakoś, zmalał — niktoby go już za olbrzyma nie wziął — osiedla ludzkie omijał zdaleka, po boku chodził ze zwieszoną głową, wygląd miał smutny na wejrzenie, jak niedźwiedź po spowiedzi.

Ludzie też, widząc go takim zgnębionym, śmielej poczynali mu zazierać w oczy, ba, dość nierzadko witali go śmiechem. Częstokroć przy nim zwady poczynali na próbę, czy się też wmiesza — ale Kurzawa, jakby całkiem zabaczył o sprawiedliwości, patrzał ponuro na to i usuwał się. Sława, czynami dawnymi zdobyta, pokryła się gdzieś poza nizkie płoty, ani jej widać, ni słychać nie było. Niesprawiedliwość podnosiła coraz to wyżej łeb swój nieochrzczony — wreszcie na cały głos tryumfowała.

Kurzawa jeździł szkapami — ze zwieszoną głową — po drogach, po których jeszcze niedawno sprawiedliwość czynił, i tu też, jak przeznaczenie chciało, spotkała go śmierć. Oto bowiem ci wszyscy, przez niego dawniej sądzeni — a było ich dość sprawnie, bo coś przeszło nad stu — zmówili się w jednym czasie i, zastąpiwszy mu drogę, zabili.

(Nec Hercules...)

Odtąd sprawiedliwości niema w gminie Juzgów. Ale sława Kurzawy zaczyna się powoli przywracać.

Ba! nawet ci, których on za życia sądził, a którzy go zato potem (słusznie, jak powiadali ludzie) uśmiercili, zaczynają przemyśliwać nawet dość naprawdę: czyby go na ten przykład nie ogłosić świętym?

Dwa nieznane portrety Krasińskiego

przez Cyprjana Norwida.

„To jest zapewne poezja przyszłych wieków, więc dla nas niezrozumiała“. Poeta Gaszyński, pisząc w roku 1856 słowa te do poety Siemieńskiego, nie przeczuwał nawet, ile w nich mieściło się prawdy! Dla niego wszakże i dla tylu innych podówczas nie ulegało wątpliwości, że C y p r j a n N o r w i d, ta „inteligencja zwichnięta, ta istota chorobliwa i pełna dziwactw, to „fortepianista“, któremu brak palców i dlatego, chcąc objawić harmonijne tony, które ma w piersiach, tłucze po klawiszach łokciami i piętami, a miłość własna zatyka mu uszy, więc fałszywe owe tony tylko publiczność słyszy...“ Ale minęło zaledwie pół wieku, a oto jesteśmy świadkami zjawiska, jak postać poety niezrozumianego i wyszydzanego za życia, a w nędzy zmarłego — dobywa się z mroków zapomnienia i objawia się, jako jedna z najgłębszych a w każdym razie najbardziej oryginalnych indywidualności twórczych, jakie u nas zna wiek ubiegły.

Zdziwionym oczom naszym ukazuje się nagle „ofiara czasu, temperamentu, szkoły, nie wiem“ (Kraszewski), jako wielki poeta i myśliciel, który na polu sztuki zwłaszcza, wiele z tego, co zdaje się być dopiero zdobyczą współczesną, dawno przed dzisiejszymi bojownikami „nowej sztuki“ przeczuł i sformułował. „Odkrycie“ to Norwida jest, jak wiadomo, jedną z zasług Z e n o n a P r z e s m y c k i e g o. On to pierwszy zwrócił na niego uwagę, wydając z rękopisów cały szereg nieznanych a niepospolitych wysoce jego utworów, z których niezawodnie zechce niebawem przygotować edycję zbiorową. P. t. „Cyprjana Norwida poglądy na sztukę narodową“ — ogłosił także niedawno p. S t a n i s ł a w M a l c z a r t ciekawe studjum, jako ustęp z większej, nieogłoszonej dotąd pracy p. t. „Cyprjan Norwid, jako poeta“.

Tak więc zmartwychwstaje Norwid-p o e t a. Głucho jednak jeszcze natomiast o Norwidzie-m a l a r z u i r y t o w n i k u. Znaną jest zaledwie reprodukowana w „Chimerze“ akwaforta p. t. „Skrzypek niepotrzebny“, bardziej natomiast znanym... sąd, jaki o jej autorze w swoich „Stu latach malarstwa w Polsce“, nazbyt chyba lekkomyślnie zawierzywszy zdaniu Siemieńskiego i Kraszewskiego, feruje prof. Mycielski. Szan. autora powinna była zastanowić choćby opinja zagranicy, gdzie w swoim czasie twórczość malarską Norwida znano i wysoko ceniono, że zacytuję tutaj wielką encyklopedję Larousse'a, a z głosów prasy współczesnej jeden z najstarszych i najpoważniejszych podówczas przeglądów artystycznych, miesięcznik *L'Artiste* (z lutego 1868). Osobiście znam zbyt mało utworów Norwidowego pendzla lub rylca (bibljoteki: medycka i poturzycka we Lwowie a Muzeum narodowe w Krakowie posiadają zaledwie po kilka akwarel, rysunków i akwafort), ażeby na ich podstawie, prócz oryginalnej zawsze

treści, stwierdzić coś więcej poza wyraźnem, nazbyt może wyraźnem, przejęciem się Leonardem da Vinci i innymi mistrzami włoskiego odrodzenia.

O wybitnych u Norwida zdolnościach rysowniczych świadczą w każdym razie dotąd zupełnie nieznane portrety akwarelowe, przedstawiające trzydziestokilkoletniego Zygmunta Krasińskiego. Oryginały ich znajdują się we Lwowie w bogatych zbiorach medyckich, (bibljoteka Pawlikowskich). Większy z nich (160×214 mm.) przedstawiający poetę z profilu na tle ruin (mimowoli przypomina się tło Giocondy), malowany z użyciem piórka i ołówka na grubej tekturze, oznaczony jest u dołu po prawej: (: 1848—47 w Rzymie rysował z natury wspomnień Norwid). Drugi mniejszy (97×135 mm.) akwarela na zwykłym papierze, popiersie *en face* — nie jest oznaczony, zdaje się jednak niewątpliwie z tej samej, co pierwszy, pochodzić epoki. Podobieństwo obydwóch uderzające w każdym rysie, a zwłaszcza w charakterystycznym owalu czaszki, wartość zaś tem cenniejsza, że z tych lat żadnego właściwie dobrego portretu Krasińskiego nie posiadamy.

Przyczynek ten do ikonografji autora „Irydyona“, będący równocześnie przyczynkiem do poznania malarskiego dzieła Norwidowego, skłoni może kiedyś historyków literatury do bliższego wyświetlenia kwestji wzajemnego stosunku pomiędzy obydwoma poetami. Temat cały nad wyraz wdzięczny. Na wszelki sposób data : 1848—47 (prawdopodobnie daty powstania portreciku i zawarcia pierwszej znajomości) jest pewną. Wiadomo, że Krasiński zimę z roku 1847 na 48 spędza w Rzymie. Norwid bawi tam równocześnie, jak stwierdzić można na podstawie listów jego do panny Trembickiej*) i to jeszcze, zdaje się, od roku 1846 i mieszka w tym wielkim „atelier świata“ przy via Felice No 123.

Nadmienić tu jeszcze wypada, że autor wspomnianej notatki o Norwidzie u Larousse'a wzmiankuje o rytowanym przez niego pięknym medaljonie Krasińskiego. Jest to prawdopodobnie pomyłka. W autobiografji bowiem, ogłoszonej we „Wiadomościach numizmatyczno-archeologicznych“ (Kraków, 1897, No 4) przez Dr. F. Koperę, wspomina Norwid tylko o takimże medaljonie — bronzowym, z czego, jak również z wzmianki w tejże autobiografji o studjach pod rzeźbiarzem florenckim, Pandolionim, wynikałoby, że wszechstronność jego aspiracji twórczych kazała mu próbować się także i w rzeźbie.

A. Ł. Cybulski.

*) Listy Cyprjana Kamila Norwida do p-ny Marji Trembickiej, córki generała Stanisława, następnie zamężnej Felicjanowej Faleńskiej (Rps biblj. jag. l. 1285 fol. 1—84). Cenną tę korespondencję, obejmującą okres lat od 1843 do 57 a pisaną kolejno z Warszawy, Berlina, Hagi, Rzymu, Nowego Jorku, Londynu i Paryża, przysposobił świeżo do druku dla „Chimery“ p. St. Kossowski.

Światła i cienie Anglji.

II.

Podczas ostatnich roków przysięgłych północnego Londynu pięć kobiet stanęło przed kratkami sądowemi. Pierwsza 29-letnia mężatka — opuściła swe czteromiesięczne dziecię w nieogrzanym pokoju bez opieki, sama racząc się wódeczką w szynku. Dziecię umarło z zimna i matkę skazano na dwuletnie zamknięcie w zakładzie leczniczym dla pijaków. — Druga kobieta zostawiała swe czworo dzieci, sama przesiadując w szynku; trzyletnia kuracja przymusowa ma pouczyć ją o obowiązkach matki. Trzy inne kobiety, (mężatki) skazane zostały na podobne kary dwu- albo trzyletniego zamknięcia w domu dla osób chronicznie nietrzeźwych. Mamy zatem pięć plam czarnych w życiu Londynu północnego podczas zaledwie 4 tygodni; południowy Londyn jeszcze gorzej się przedstawia. Przedewszystkiem zaś zaznaczmy, że z liczby kobiet, chronicznie pijanych i narażających dzieci swe na kalectwo fizyczne lub moralne a często i na śmierć, zaledwie jedna na 30 lub 20 dostaje się pod sąd. Czytelnicy więc zrozumieją, dlaczego ten objaw życia angielskiego przedstawić i zarazem wytłómaczyć usiłujemy.

Plaga pijaństwa w Anglji jest większą znacznie i dotkliwszą, aniżeli u nas, jakkolwiek, być może, w Anglji mniej dobrobyt ludności podkopuje. Ożywienie przemysłowe jest tam tak silne, życie gospodarcze kraju bije tak przyspieszonem tempem, że zupełna ruina człowieka, zupełne jego zubożenie nie tak jest częstem zjawiskiem, jak u nas. Jeżeli naprzykład w Galicji włościanin gospodarz, majster drobny lub rzemieślnik umiejętny przez chwilową namiętność do kieliszka, utraci miejsce swe na drabinie życia społecznego, to nadzieja ratunku, nadzieja na powtórne wdrapanie się na stanowisko utracone nie jest wielka, bo koło życia gospodarczego żółwio się obraca. Ale w Anglji, gdzie to koło wiruje

szybko, tam chwilowa wina prędko może być powetowaną. Jednem słowem, skutki pijaństwa w Anglji są mniej dotkliwe, jakkolwiek plaga pijaństwa szerszym roztoczyła się rakiem w organiźmie społecznym.

Plaga to zresztą stara. Charakterystycznym jest ten fakt, że już w XVII. stuleciu reakcyjni nawet królowie Anglji, ostatni przedstawiciele Stuartów, chcieli nadać zabawom ludowym inny, bardziej rozumny i urozmaicony kierunek, by ocalić masy od „zapijania się“. Pogoń wszakże za złotem w Indjach i w Ameryce wprowadziła duch brutalny, który ogarnął wszystkie klasy społeczne. I oto widzimy, że w XVIII. wieku, kiedy na innych dworach europejskich panuje wyrafinowana, acz sztuczna układność, w Anglji pijaństwo i burdy są na porządku dziennym i całe „wyższe“ towarzystwo kładzie się od śmiechu, gdy na balach dworskich książę Walji, przyszły Jerzy IV., chustką od nosa mierzy przy wszystkich wypukłe formy dam dworskich.

Masy zaś ludowe poddają się rozprzężeniu moralnemu, jakie wprowadza fabryka, jak Moloch pochłaniający wszystko, co żyje. Rola zostaje zaniedbaną, domostwa są opróżnione, a rodzina ulega rozprzężeniu. W fabryce zaś nowe maszyny zastępują stare, wszystko sprowadza się do jednego słowa: „pospiech“. W tej chyżości obrotu towarów i pieniędzy, w tym szalonym biegu ku nagromadzaniu towarów dla krajów dalekich i nieznanych, ciężki obłok fantastyczny przygniatać poczyna charakter umysłowy i moralny ludności. Dawne węzły ludzkie zostają zerwane, dawne uczucia stępione. Od tej chwili na bruku miejskim zjawia się przeobrażona kobieta angielska.

Od dzieciństwa upatrzona na narzędzie fabryczne, nie ma ona ani przygotowania, ani chęci do życia domowego. Przyodziana w starą odzież, którą bogate panie zrzuciły ze swych pleców, opięta w szal, bo wir kół maszynowych zabił w niej nawet tę prostą i naturalną zalotność kobiecą, dziewczyna fabryczna wieczorem towarzyszy mężczyźnie do szynku. W domu opustoszałym niemasz nikogo.

A miejski szynk angielski przybrał także cechę odmienną. Przestał on być gospodą starą; dla pozoru tylko i dla omijania prawa, sprzedaje się tam strawa. Znikły w nim stoły i ławki, a goście winni stać i połykać produkt „gorzelni i browarni krajowych“. Ci, co przez dzień cały musieli odgrywać w fabryce rolę producentów bezwiednych, teraz w szynku mają do spełnienia rolę konsumentów wódki krajowej i piwa ojczystego. I gdy napoje te pienią się w szklanicach, a szumowiny piętrzące się skraplają się na ziemi, napełniając powietrze zapachem trującym, inne szumowiny brutalności i zdziczenia moralnego wydobywają się z zatrutych dusz ludzkich, zarażając naokoło siebie niemal że wszystkie siły narodu.

Doszło wreszcie do tego, że od soboty do wtorku w miastach dnie te znane były pod nazwą „dni czarnych oczu“ tj. dni ciemnych sińców, któremi kobiety są obdarzane od mężów lub kochanków. Prawodawstwo usiłowało wkroczyć, jako siła uwalniająca, ale prawodawstwo zostawiało swobodę szynkom, karcąc tylko ofiary ich przedsiębiorczości. Przed dwoma laty uchwalono nawet nowe prawo, które zastosowało obostrzone przepisy karne i do kobiet. Dawniej kobieta tylko mogła żądać rozwodu z powodu pijaństwa nałogowego męża; dziś to samo prawo przysługuje mężczyźnie żonatemu, z tą wszakże różnicą, iż żona-pijaczka może uniknąć rozwodu, gdy się poddaje trzyletniemu zamknięciu w domu leczniczym.

Ale najdrastyczniejszym przepisem z ostatniego prawa przeciw pijaństwu to wprowadzenie „księgi czarnej“, w której są fotografje pijaków nałogowych każdego okręgu. Fotografje te są komunikowane szynkarzom okolicznym, którzy mogą być karani za sprzedaż napojów gorących podobnego rodzaju bohaterom parafjalnym. Wreszcie, kto wszedł do albumu takiego, może być karanym za to tylko, iż stara się otrzymać wódkę lub piwo i to nawet wtedy, gdy starania te nie są uwieńczone powodzeniem. Trudniej chyba o więcej ostre przeciw pijakom przepisy.

Przyszłość wykaże, czy prawo to wpłynie na osłabienie pijaństwa. Dzisiejszy wszakże rząd zachowawczy widocznie trzyma się zasady, iż lewica nie powinna wiedzieć o tem, co prawica robi dobrego, gdyż po przeprowadzeniu prawa wzmiankowanego, rząd stanął po stronie szynkarzy. W Anglji bowiem sędziowie pokoju (którymi są obywatele naznaczeni przez rząd) decydują o udzielaniu lub odmawianiu koncesji na wyszynk napojów gorących. Pomiędzy tymi sędziami pokoju znalazło się wielu, którzy domagają się ograniczenia liczby szynków. W samej rzeczy, im więcej szynków, tem trudniejszą jest kontrola nad nimi, tem łatwiejszem jest obchodzenie prawa tylko co uchwalonego. Ale szynk to „business“ — interes, — a interes wszak jest bożyszczem tych, którzy wciąż o „potędze“ i „sile“ kraju mówią. Rząd więc stanął po stronie szynkarzy przeciw sędziom pokoju.

Dawniej rząd byłby wolnym od takiej walki, bo sędziami pokoju byli tylko ludzie z gentry

— szlachty, marnujący ziemię, ale bogacący się na gorzelniach. Od dwudziestu wszakże lat pod naciskiem nowych prądów politycznych, w miastach szczególnie rządy poczęły mianować mieszczan, rzemieślników nawet, na sędziów pokoju. I właśnie te nowe żywioły wytoczyły walkę szynkom angielskim, a bez tej walki nie masz nadzieji wyleczenia ludności od wrzodu złego, rezultatu stuletniej gorączki fabrycznej.

Czy prawo powyższe przeciw chronicznie nietrzeźwym pomoże — zapytamy jeszcze raz? Zdaniem naszem pośrednio przyczyni się do wyleczenia tych kobiet nieszczęsnych, które dziś, jak i my, spieszą do tryskających światłem szynków i piwiarń. Postępy myśli demokratycznej budzą w ludności godność osobistą i potrzebę pewnej moralnej wiary w samego siebie. Otóż ci ludzie, w których świadomość o wartości własnej obudzoną została, uczują wkrótce ciężkie jarzmo prawa nowego. Dla nich księga czarna palić się będzie ogniem, który rumieńce wyciska; w nich myśl o przymusowem leczeniu zrodzi rychło potrzebę dobrowolnego leczenia się.

Jednocześnie zajdzie zmiana w ogólnych formach życia towarzyskiego mas. Nowe parki, nowe teatry, nowe bibljoteki i muzea ludowe przyciągać będą masy do siebie; odrodzą się domostwa, obudzi się wiara w wartość ludzkości bez pieniędzy. Wtedy też zniknie pokolenie tych kobiet, które dla kieliszka zapominają o wszystkiem — nawet o sobie, o swem szczęściu.

Sygma.

JAN ŚWIERK. 16)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Zupełnie inne życie teraz.

Całe mieszkanie cioci zarzucone materjałami balowymi. Krepy, gazy, fulary, tiule, materjały jakieś, o których nigdy nie słyszałam, jakich nigdy nie widziałam. Wokoło, gdzie okiem rzucić, jakby tysiące kwiatów rozkwitło. Barwy prześliczne, cieniowane rozmaicie, złączone z sobą w harmonijne tony, jakby jakieś mgły tęczowe, jakieś obłoczne światła i brzaski.. niby bławaty deszczem spłukane... niby kąkole rumienione południem, rosą osrebrzane..

Więc jak to? — Są światy samych zabaw, rozrywek i strojów, w których dzień za dniem niesie uciechę, piękno, swobodę?..

A inne światy mają tylko mrok, cień, ponure barwy i trud życia, ból życia, krzywdę życia?..

Ileż to kobiet stroić się pocznie, jeśli tylko w jednym magazynie cioci sukien przeszło 40 jest zamówionych!!

Blada, żółta Kazia Snopkówna, która oto szyje różową suknię na bal, jakże smutno wygląda przy tej robocie.. Jej spełznięta, popielata sukienka z sztukowanymi rękawami, przy tej jasnej barwie wydaje się, jak szary ugor przy kwiatów klombie.. Wychudłe jej palce zdają się jeszcze cieńsze i bledsze przy tej robocie, a podkrążone oczy mają wyraz jeszcze smutniejszy.

Mania Koźlówna stębnuje i stębnuje halkę niebieską jedwabną, w której naliczyła już zakładek 700!.. Ileż to pochłonie wydatków, pracy i „kredytu“ taka jedna halka.. a, kto wie, kiedy zapłacona będzie...

Elżbietka, przynosi z pod żelazka, prawie już ukończoną białą, jedwabną sukienkę dla panienki może 15-letniej... Prześliczna!... Ubierana haftem aplikacyjnym, upięta zgrabnie szarfą różową...

Jakie przykre wrażenie robi przy tej sukni Elżbietka biedna... Trzewiki podarte, sukienka dwa razy przydłużana sztucznym sposobem, bo ciągle za krótka, bluzka perkalowa, cerowana miljon razy.

Coś we mnie wre i kipi, coś mię napełnia sarkazmem czy zazdrością, sama nie wiem jak określić to uczucie, które budzi się we mnie i sprawia jakby zamęt dziwny.

I pytam się, pytam bezustannie, czemu te jedne są przeznaczone na walkę z nędzą, na pracę żmudną, na najmniej ceniony zastęp pracownic, a one, inne, wybrane są ozdobami salonów, uciechą oczu wielu, umileniem życia drugim i ciągłą zabawą dla siebie..

— Nie czytałaś, Jadwiniu, w dzisiejszej gazecie, ile balów nowych zgłoszono — pyta ciocia, wirując około manekina, przystrojonego w cudny, gazowy kostjum...

— Czyż mnie to interesuje? — burknęłam z niechęcią.

Lecz ciocia na to:

— Ale dla mnie zrób to i przeglądnij gazetę...

— Cioci tego trzeba?

— Czyż nie domyślasz się? Każdy bal, to dla nas żniwo, im więcej się bawić będą, tem lepiej dla

magazynów. Jak rolnikowi żniwa, tak nam karnawał... Pamiętam, będzie temu lat 12-cie, nie, 14-cie lat temu, karnawał był świetny... ja sama w tym roku zrobiłam balowych sukien 100 przeszło!... O! wtedy, kupiłam sobie drugą maszynę, garnitur do saloniku sprawiłam, wtedy nawet miałam gotówką złożonych 17 zł... na „czarną godzinę“, na jakieś nieprzewidziane zdarzenie...

— I wtedy płacili cioci gotówką lepiej, niż teraz?...

— Bywało jakoś lepiej. Z prowincji panie dawały robić, te płacą zaraz, z Królestwa miałam kilkanaście, te także wypłacają zaraz, a miejscowe, jak zwykle...

Przeglądam Zorzę i czytam cioci w głos:

— Na pierwszej zabawie w „Kole“ odznaczała się urodą i tualetą pani ***, której srebrno-popielata suknia należała do najpiękniejszych...

— To moja! — cieszy się ciocia i aż zarumieniła się z radości...

— Ale nie pochwalili tu ciocię za pracę, tylko panią *** za posiadanie sukni — czy tak ma być?... Czy to większa zasługa tej pani, iż ubrała się w suknię, czy cioci, iż tę suknię uszyła?

Ciocia idzie do mnie... kładzie swe ręce na moje ramiona i mówi z cicha:

— Ty chcesz sławy krawcowej?... O! moje ty dziecko wiejskie, moje ty serce dobre, które chcesz lepszego świata, niż jest... Jakby była suknia od krawcowej z Wiednia, Berlina lub Paryża, toby o niej pisano... ale gdy to tylko „u nas“ robione, po co pisać... My tylko do służby i do ciągłej służby...

— A tak!... nawet wspominają, iż bufet był zasługą tej cukierni, a kolacja z wybornej kuchni *** wyszła... a wina z tej piwnicy, tylko nie powiedzą z czyjej pracowni tualety...

— Cóż chcesz? Wszak nie będzie każda z pań głosiła „moja suknia tam“, „moja tu“, bal to nie wystawa naszych prac. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Wybór nowel* Iwana Wazowa, przełożyła z bułgarskiego Józefa z Zagórowskich Anc, nakładem warszawskiej „Bibljoteki dzieł wyborowych“. Najbardziej popularny z bułgarskich autorów, doczekał się już drugiego przekładu utworów swoich na język polski. Pierwsza powieść „Pod jarzmem“ znalazła u nas chętnych czytelników, więc też bezwątpienia i wybór nowel przyjęty zostanie życzliwie, zwłaszcza, że dzięki dobremu tłómaczeniu nic nie zostało uronionem z piękności oryginału. Nowele Wazowa mają treść bardzo rozmaitą i pod tym względem przypominają żywo młode a pośpiesznem życiem tętniące dzieje bułgarskiego narodu, jak niemniej osobisty bardzo urozmaicony żywot autora. Oprócz tego mają nowele Wazowa tę specjalną wrażliwość i wszechstronność obserwacji, cechującą młode, lub po długim śnie na nowo przebudzone piśmiennictwa. Znajdą się tam więc uczucia proste a głębokie, prostolinijne formy, odgłosy niedawnych walk o niepodległość, a wreszcie i mimowiedne reminiscencje, które pochwytał umysł kształcony na obcych, już gotowych wzorach. Np. nowela p. t. „Córka Piłata“ przypomina żywo utwór Sienkiewicza „Pójdźmy za nim“.

Od Słowiańszczyzny bałkańskiej dochodzą nas najczęściej odgłosy krwawych wypadków, więc za przyswojenie literaturze naszej pokojowego, cywilizacyjnego promyka duszy i myśli bułgarskiej, należy się tłumaczce wdzięczność.

Kraków. Nakładem Towarzystwa miłośników Krakowa wyszedł nowy duży tom „Rocznika krakowskiego“ pod zbiorowem godłem „Kraków“. Czoło zewnętrzne księgi zdobi motyw drzwi z katedry na Wawelu ozdobionych znakiem imiennym Kazimierza Wielkiego.

Współczesna technika wydawnicza, posługując się fototypją cynkową, stworzyła nowy typ taniej obrazkowej literatury.

Autorowie tej księgi, pp. Adam Chmiel i dr. Tomkowicz, użyli fototypji do tego, aby dać obrazy dawnego i dzisiejszego Krakowa we wszystkiem, co stanowiło i stanowi wartość kulturalną dla Polski tego dziwnego miasta.

Naturalnie z wielu wyjątkami obrazy te mają wartość głównie pamięciową i orjentacyjną, służąc jako wskazówka, co jest jeszcze w Krakowie z cennych i godnych widzenia rzeczy.

Poza tem mieści się tam wiele rycin o pierwszorzędnej wartości artystycznej.

Treść opisowa dopełnia obrazowy dział księgi.

Całość dając rodzaj monografji artystycznej i kulturalnej Krakowa, staje się w ten sposób zaczęciem nowego typu wydawnictw tak koniecznych dla dziejów naszej cywilizacji. *K. M.*

PISMA. *Krytyka* za kwiecień b. r. po artykule wstępnym pióra redaktora-wydawcy p. W. Feldmana zawiera początek ładnego poematu dramatycznego E. Leszczyńskiego p. t. Jolanta, dalej poezje J. Żuławskiego, oraz nowelę W. Perzyńskiego. W artykule p. t. „Koniec demokracji chrześcijańskiej“ omawia p. K. Radosławski encyklikę Piusa X. *moto proprio*, obok zaś inż. Mokłowski „Dla dobra sztuki polskiej“ wymownie nawołuje do przeniesienia działu architektury z politechniki lwowskiej do Krakowa i połączenia jej tam ze szkołą sztuk pięknych. Zeszyt zawiera nadto zakończenie pracy Z. Lipinera o „Widzeniu ks. Piotra“, tłumaczącej w nowy i oryginalny sposób zagadkę czterdziestu i czterech oraz starannie prowadzony dział przeglądów miesięcznych, w którym figurują nazwiska: Dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej, W. Mitarskiego, J. A. Kisielewskiego itd. *A. C.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.